

Wyścig 1. Gibraltar – Puerto Calero.

Z Gibraltaru wystartowałyśmy z opóźnieniem kilkugodzinnym, bo miało być o 1000, ale po pierwsze, kto wychodzi na niskiej wodzie, a po drugie, musiałyśmy pójść na Skałę małą oglądać. Andrzej pewnie siedział jak na szpilkach i czekał na wiadomość o starcie, a my nic, mały ważniejsze, ale sam sobie winien, mógł przylecieć nas wystartować do historycznego pierwszego wyścigu, port lotniczy blisko, nawet nie musiałyby samochodu wynajmować, pontonem byśmy go odebrały z lotniska, żeby nie musiał naokoło chodzić.

W zasadzie, to chciałyśmy wyjść na wysokiej wodzie o 1600, ale jak już pojechałyśmy zwiedzać, to nam zeszło, na upartego dałoby się wyjść koło piątej, ale jak już wyjęłam kasę z bankomatu, żeby kierowcy zapłacić za zwiedzanie, to trzeba było wydać resztę lokalnej waluty, bo na co mi funty, kupiłyśmy sobie pięć porcji frytek, kelner jak usłyszał, że dookoła świata płyniemy, dołożył nam gratis zapas ketchupu i innych sosów na dwa lata.

Na pięć minut przed startem, o godz. 1800 wyłączyłyśmy silniki (żagle już miałyśmy postawione) i zaczęłyśmy odliczanie. Ania poszła bliżej lewej strony, a my z prawej. Na linii startu my byłyśmy troszeczkę wcześniej. Wiatru niewiele, ale nawet trochę do przodu dało się iść, choć halsówka. Nasze rozmowy przez ukaefkę znowu podsłuchali polscy marynarze i się włączyli, powiedziałyśmy im, że właśnie jest historyczny start do wielkich regat i znowu nie mogli uwierzyć, że same baby płyną i do tego tylko po dwie, i jeszcze na dodatek się ścigają, ale życzyli nam wszystkiego najlepszego i dobrych wiatrów.

W Cieśninie Gibraltarskiej pełno delfinów, jeden nawet uderzył w kil, aż nas przyhamowało. Ale za to wiatru siadło, musiałyśmy uruchomić silniki, bo na tym prądzie by się nie dało, zdryfowałyby nas całkiem w maliny. No to po dżentelmeńsku idziemy, obie łódki na tych samych obrotach, równiutko, Anka parę kabli za nami. Położyłam się spać, Gosia jedzie.

Nagle Gosia wrywa mnie ze snu.

- Wstawaj, kontrola.

Nie wiem, o co jej chodzi, zaspana ubieram buty i wychodzę. W oczy snop światła, widzę motorówkę bez świateł, pełną uzbrojonych po zęby Arabów. Jeden pyta, czy umiem po francusku, świntuch. Gosia tłumaczy mi, że to Coast Guard, nic nie rozumiem, pytam, jaki Coast Guard.

- Marokański.

Nie mogę zebrać myśli, każdy tak może powiedzieć, czy to prawdziwy Coast Guard? Chcą nam stanąć do burty i wejść na łódkę. Próbuje ocenić sytuację. Lipa. Uciec nie mamy szans.

- To cała załoga?

- Tak.

- No men?

- No. – odpowiadamy szczerze. – Teraz już koniec. Z życiem nie ujdziemy. A co nam zrobią wcześniej, lepiej nie myśleć...

- You need a man.

- No – śmiejemy się, bo widzimy, że motorówka się oddala. Widocznie wyglądałam tak przerażająco, że wystraszyłam ich samym swoim wyglądem.

Andrzej pisał nam później, że gdyby weszli na pokład, zabraliby alkohol, papierosy i wieprzowinę. Furda alkohol i papierosy, ale o mielonkę walczyłybyśmy jak lwice! Nie oddałybyśmy im ani puszek! A inna sprawa, że Andrzej nie miał racji. Prawowierny

mahometanin świńskiego mięsa nie dotknie nawet przez puszkę. Wiem to od pewnego Pakistańczyka, który zdradził mi sposób na przemyt alkoholu do krajów islamskich. Widać nie tylko Polak potrafi.

Ale zimno pod tą Afryką! Na pokład pod sztormiak ubieram polar i ciepłe gacie, na głowę zimową czapkę, śpię ubrana w polar w śpiworze i pod kocem. Ostatni raz tak ubierałam się na Północnym. Tu jest Afryka! Tu ma być ciepło!

Od paru godzin flauta, idziemy na silniku. Noc rozgwieżdżona, spokojna. Po lewej burcie widać zielone światełko – topówka Ani. Przed nami Casablanca, ileż razy oglądałam ten film! Piszę maila do Kwiatka i przyjaciół, ale Neptun nie pozwala za dużo się rozpisywać. Nagle przechył, z niecałych dwóch węzłów wiatru zrobiło się prawie 20. Szybko wyskakuję na pokład - grota luzować, kontraszota zakładać, silnik odstawiać. Jedziemy!

Rano jestem już dobrze zmęczona, chcę tylko dotrzeć do siódmej i obudzić Gosię. Schodzę na dół zrobić zapisy, rysuję pozycję, gdy nagle łódka przechyliła się na prawą burtę. Wyskakuję, rufa niekontrolowana, zmienił się kierunek wiatru - to pierwsza myśl. Kontraszot trzyma, nie mogę poluzować grota, wołam Gosię na pomoc, próbuję wysterować z powrotem, ale łódka nie chce odpadać, zauważam że autopilot nie trzyma, to nie wiatr się zmienił, tylko Ziutek puścił ster. Luzujemy kontraszota i talię, wracamy na kurs, ponownie ustawiamy się na prawym halsie. Próbujemy założyć autopilota i wszystko jasne. Jego się nie da założyć.

- Pałę Ziutkowi urwało.

- Może samą końcówkę?

- Całą, zobacz, nie ma. – wyrokuje Gosia. Niewiele, ale coś tam z Ziutka jednak wystaje. Nie jestem przekonana, ale nie będę się z Gosią spierać. Ręczne sterowanie z grotem na tej fali nie bardzo nam wychodzi, nawet z założonym kontraszotem jest problem, zrzucamy grota i idziemy dalej na fok. Przed nami jeszcze cztery dni, czy damy radę? Na razie idę spać, później będę o tym myśleć – jak Scarlett.

Ten front, który miał przyjść pojutrze, jest dzisiaj. Nic się nie zgadza z andrzejowych prognoz pogody, dobrze, że Gosia odebrała faksymile, to przynajmniej wiemy, co się dzieje. Wieje NW 6-7 B, duża fala, do tego deszcz i zimno. Afryka. Dobrze, że sztormiaki nie przeciekają. Sterujemy ręcznie i zastanawiamy się, co dalej. Może wejść do jakiegoś portu i tam naprawić? Przy okazji, poczekać na poprawę pogody. Casablanca najbliżej, kusi. Tylko czy w Maroku da się cokolwiek załatwić? Sprawdzam, wiz nie trzeba. Oglądam C-map, nieciekawie. Nie wygląda, żeby tam była marina. Ale to duży port... Ślemy maila do Andrzeja, on będzie wiedział. Jedziemy dalej. Andrzej dzwoni, rozmawia z Gosią, stanowczo odradza stawanie w jakimkolwiek marokańskim porcie. Nie chce nas wyciągać z więzienia. Nie wie, że do Maroka nie trzeba wiz. Gosia rozmawia z Casablanką. VTS jest całkiem uprzejmy i niezłe mówi po angielsku. - Tu nie ma mariny, nic nie załatwicie. Możecie wejść do Mohammedii, 12 mil na północ od Casablanki. - To już za nami, halsować nie mamy ochoty.

Oglądam jeszcze raz Ziutka, upewniam się, że jednak pałeczkę ma, tylko schowaną. Brakuje końcówki, nakrętki z dziurką, którą zakłada się na rumpel. Anka radzi wywiercić dziurkę bezpośrednio w drążku, ale nie chcemy robić mu krzywdy. Myślimy nad innym rozwiązaniem, ręczne sterowanie przez cztery dni zupełnie nam się nie uśmiecha. Szukamy po skrzynkach bosmańskich i szufladach. W końcu Gosia znajduje – kawałek plastikowej tulejki, jakaś redukcja nie wiadomo do czego, ma odpowiednią średnicę. Udaje jej się założyć to na wcisk. Do tego daje się wkręcić dingst, w którym Gosia, przeszkolona już w obsłudze

wkrętarki, wywierciła otwór. Gosia zapina to na rumpel – i działa! Sceptycznie jestem do tego nastawiona, nie chcę wierzyć, że takie połączenie będzie trzymało. Przecież tam są ogromne siły, to pracuje na rozciąganie, w dodatku obciążenia są dynamiczne. Wiążemy więc ten biały plastik juzingiem do rumpla – nawet jak odpadnie, to się nie zgubi. Z radością schodzimy obie do kabiny – pierwszy raz od paru godzin. Dzielimy się naszą radością z Anką, ale po pół godziny Ziutek znów puszcza ster – zgodnie z moimi przewidywaniami biały plastik radośnie dynda na sznurku. Gosia zawzięcie wciska tulejkę. Zostaje przy nim, a ja schodzę na dół, trzeba Ziotka pilnować, ale przynajmniej można odpocząć od sterowania. Na dole robię zupę z puszki, niestety okazuje się, że Gosia, rozpuszczona moimi prawdziwymi zupami, nieuzdatnionego Campbella nie chce się chwycić. Woli nie jeść. Trudno, musi się przyzwyczajać, to też jest dla ludzi.

Nasza prowizorka odpadła jeszcze raz, ale potem jak już Gosia wcisnęła, to w serwisie nie umieli tego zdjąć. Brutalnie rozcięli i zniszczyli naszą tulejkę. Gosia była załamana – Mogli powiedzieć, zdjęłabym. – Sama wcisnęłam, sama zdejmę. – Gosia ma takiego powera w rękach, że wierzę, iż dałaby radę.

Nie tylko my mamy kłopot z autopilotem. Albercikowi Anki wykręciła się cała pałeczka. Dobrze, że jej nie utopiły. Podobno takie awarie się nie zdarzają.

W nocy nam też się Ziutek rozkręcił. Ku naszemu zdziwieniu tulejka trzyma, tylko Ziutek osobno, a pałeczka osobno, wisi przywiązana do rumpla. Paskudni fundamentaliści islamscy! Najpierw go obrzeczali, by był jak oni, potem wykastrowali całkiem, uzdatniając go na eunucha. Rozebrałam go i przykręciłam pałeczkę, uważając, żeby nie usunąć smaru ze środka. Udało się. Teraz tylko trzeba dobrze włożyć uszczelkę i Ziotka skręcić. Nie jest to łatwe na tej fali, trzy razy skręcam i trzy razy kawałek uszczelki bokiem wychodzi. Daję za wygraną, lepiej nie będzie. Teraz uważamy, za każdym razem jak zapinamy Ziotka, dokręcamy element sterujący. A na odkręcający się dingst na końcówce Gosia znalazła sposób – założyła cybancik. Pięknie teraz facet wygląda – biały kondomik, na to cybant i czerwona kokardka – chłopaki, lansujemy nową modę!

[tu należałoby dać stosowne zdjęcie Ziotka]

Przez te kłopoty z Ziotkiem Anka nas wyprzedziła – jest parę mil z przodu i bardziej w morze. Kolejny dzień słoneczny, front przeszedł, choć nadal zimno, wieje portugalski pasat, o którym mówił Andrzej. Idziemy parę mil od brzegu, prędkość wiatru mamy ok. 18 węzłów. Piękna jazda. Anka parę mil dalej w morzu walczy z żywiołem – ma 30 węzłów. Wreszcie jest jak w prognozie! Ale nie na długo. Po południu wiatr odkręca na nord i tęższe. Zrzucamy grotą, znów idziemy na samym fokku. Bez osłony z lądu prędkość wiatru przekracza 30 węzłów i wciąż rośnie. Boimy się, że prowizorka nie wytrzyma, znów sterujemy ręcznie.

Wiatr ponad 40 węzłów. Na samym fokku osiągamy rekordowe prędkości – ponad 15 węzłów przy zjeździe z fali, a średnio cały czas 8-9. Chyba nawet Andrzej przestanie mówić, że na samym fokku za wolno!

Trochę siadło. Anka woła, że wkręcił jej się kontraszot w śrubę. Pyta, czy pożyczę jej płetwy i maskę. Chce nurkować na takiej fali? Wchodzimy w zatokę koło Agadiru, podchodzimy pod brzeg – tam mniejsza fala. Mój sprzęt okazał się jednak zbędny, wystarczyło zdjąć kontraszot z knagi – sam się odmotął. Ale Ania straciła swoją przewagę.

Idziemy już na Kanary. Ostatnie 120 mil. Wieje NE 20-25 węzłów. My na dwóch refach i foku, Ania na trzecim refie. Boi się o Albercika, który notorycznie jej się rozkręca, a do tego wydaje dziwne odgłosy. Nasz Ziutek całkiem nieźle sobie radzi. Wydaje się, że na tych żaglach obie łódki są podobnie zrównoważone, ale my idziemy o wiele szybciej. Odstawiamy je o prawie 30 mil. Wychodzimy z zasięgu UKF, teraz łączność już tylko przez SSB.

Przed Lanzarote wiatr siada. Tylko 15 węzłów. Fala zaczyna tłuc grotem, nawet rozrefowanie nie pomaga. Stawiamy spinakera. Piękna jazda! Równo, spokojnie, do przodu! I szybko! Odstawiamy Ankę coraz bardziej!

Wiatr znowu stężał. Szóstka. Pędzimy z prędkością 9-10 węzłów. Światła Arcife mijają w biegu. Pięknie jest, tylko jak teraz zdjąć spinakera? Po 1800 wysyłamy obowiązkowego maila do Andrzeja. Podajemy pozycję i kurs, kierunek i prędkość wiatru, chwalimy się, że idziemy na spinakerze. Dzwoni telefon.

- Co wy, po nocy na spinakerze chodzicie?

- Bo nie da się go zdjąć.

Uspokajamy go, że wcale nie jest ciemno, zrzucimy, jak tylko siądzie, albo jak się schowamy za wyspę. Na razie trzeba jechać i znowu Gosia zabrała ster Ziutkowi – woził za bardzo.

W zatoce przed Puerto Calero siada całkiem. Zrzucamy spinakera, włączamy silnik. Wiemy już, że będziemy pierwsze na mecie, na silniku pójdziemy chwilkę, na żaglach wlekłybyśmy się nie wiadomo jak długo. Trzeba tylko pilnować, żeby na pięć minut przed metą odstawić silnik. Gosia pilnuje nawigacji, ja trzymam rękę na manetce i czekam na sygnał. Żeby nas tylko nie zdyskwalifikowali za zbyt późne odstawienie silnika! Na sygnał odstawiam silnik i stawiam foka. Boję się, że możemy mieć za dużą prędkość, ale nie. Za chwilę nasza prędkość spada poniżej 2 węzłów, a do linii mety jeszcze kilkadziesiąt metrów. Prawie stoimy. Mija chyba dziesięć minut, można było jeszcze chwilę pociągnąć. Do mety tuż tuż, a my stoimy. Wreszcie jest! Przeszliśmy! Będą nas polewać szampanem!